

Śmiertelna infekcja

Franc nerwowo spojrzął na dwa stopy kopert. Wydawało mu się, że dziś wyjątkowo ślamazarnie sączy się czas w poradnianej klepsydrze. Starał się wsłuchiwać w gesty i słowa pacjentów, choć jego myśli już usilnie poszukiwały drogi ucieczki z poradnianej uwięzi. „Gdybym się sprężył – pomyślał – mógłbym wreszcie zmienić opony na letnie. A później obejrzałbym tomografię od Marka i może wreszcie uporządkuję papiery z poprzedniego miesiąca. Ale przecież jutro mam dyżur, więc muszę dziś jechać do księgowej, bo dziś 18, jutro 19... ach jeszcze ta szafka... Nie dam znów rady zrobić wszystkiego na czas”. Westchnął, bezmyślnie wpisując w kartotekową kolumnkę: literkę, dwie cyferki, kropkę i cyferkę międzynarodowego kodu schorzeń.

Gdy wreszcie znalazł się w domu, pora była już późna. Tysiące myśli przelatywało mu przez głowę. Prawie słyssał, jak mówią do niego: powinieneś to, powinieneś tak, można było tak i tak, znów zrobiłeś inaczej, niż chciałeś, jutro to, jutro tamto...

Nikt nie rozumiał wrażliwej natury Franca, a i sam Franc nie zdawał sobie sprawy ze swej „inności”. Nie wiedział dlaczego, ale w bądź co bądź przyjaźnie otaczającym go świecie czuł się osamotniony. Jego wewnętrzny świat rozdzierał nieustępujący niepokój. Nie był w stanie sprostać wymaganiom narzucanym przez jego „wewnętrznego rodzica”, którego wówczas jednoznacznie kojarzył z aniołem stróżem. Brutalnie karcił ledwo słyszalny głos zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku domagający się czasu dla samego Franca. Jego delikatna struktura nie była w stanie dłużej nieść ciężaru wewnętrznej wojny i zewnętrznych oczekiwań. Przez szczelinowate pęknięcie jego duszy z wolna przesączał się toksyczny zamęt.

Franc zerwał się z krzesła. Nie ma co użalać się nad sobą. Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Nalał sobie odrobiny whisky. Pomyślał tęsknie o weekendzie, kiedy to będzie miał więcej swobody. Zatrzymał się na chwilę. Poczł, jak ogarnia go spokój i wewnętrzne rozluźnienie. Upajał się chwilą, w której

wypity alkohol odbierał jego niepokoje, napięcia i problemy. Wydawało mu się, jakby zabierała go ciepła fala tropikalnego oceanu. Ta cudowna woda zabierała jego ciężary. Teraz było już lekko, ciepło i dobrze. Znow miał dużo sił, a świat malował się w jaśniejszych kolorach. Zabrał się do porządków w papierach. Wiele postanowił na jutro. Najważniejsze to rozmówić się z ordynatorem w sprawie poradni. Czas odmierzał coraz częstszy szelest odkręcaniej butelki.

Ranek odsłonił nocne tajemnice. Nie każdą godzinę udało się odnaleźć w obolałej pamięci. Teraz należało szybko znaleźć telefon, laptop, torbę, spodnie, schować pustą butelkę. Pysznic, kawa i do roboty. Wsiąść za kierownicę? „Nie ma mowy” – błysnęła pierwsza myśl! Wkrótce ustąpiła pod naporem racjonalizatorskiej propagandy obliczeń „gramprocent na kilogram na godzinę” w kontekście niezbędności samochodu, spóźnienia, wstydu, kosztów taksówki, stosunkowo niewielkiego ryzyka kontroli. Kiedy zakaszła, poczuł od siebie woń alkoholu. „Niedobrze” – pomyślał i duszkiem wypił pół butelki wody. Nawodnić, zwiększyć objętość łożyska naczyniowego w celu rozcieńczenia stężenia. Był dumny ze swej wiedzy i sprytu medycznego. „Taaak! Ale już nigdy więcej” – wyrwała się niecierpiąca sprzeciwu myśl na usta Franca. To stanowcze i mocne postanowienie, uczynione całą siłą woli, było zupełnie szczere. Miało stanowić punkt zwrotny w życiu Franca. To nie było jakieś tam gadanie, ale postanowienie na miesiące, a być może i lata. Przecież wczoraj znow sprawy wymknęły się spod kontroli. Dziś znow wsiadł za kierownicę „w stanie po spożyciu” i zmierzał do szpitala na dyżur. Plan na dziś od wczoraj szybko ewoluował, zaciągając tradycyjne punkty: nie pokazywać się nikomu, a szczególnie ordynatorowi, często zmieniać miejsce, blisko okna, grzecznie i sympatycznie, pamiętać o perfumach, guma do żucia, dużo wody.

A dalej? Dalej życie nie tyleż toczyło się, ile raczej płynęło, zostawiając w oddali bezpieczny ład. Franc już przypuszczał, że niebezpiecznie dryfuje. Wciąż jednak ufał syreniemu śpiewowi grze-



choczącego lodu i krystalicznym wirom jego lekarstwa na ból życia. Gdy tracił wszystko, skarżył się na niesprawiedliwy świat. Potem już się nie skarżył, nie chciał żyć. Z trudem chwycił hausty powietrza. Jeszcze szamotał się w swoim bagnie, wierząc, że jeśli zechce, to z niego wyjdzie. Długo nie chciał. Potem sam już nie mógł.

Dziś ocalali rozbitkowie, a wśród nich Franc, wyruszają tratwą ratunkową na poszukiwanie tych drogich kolegów i koleżanek doktorów, którzy jeszcze niebezpiecznie płyną. Służą przede wszystkim przykładem swojego ocalenia, rozpalając nadzieję u tych, u których zrobiło się już ciemno. Są ludźmi wolnymi i radosnymi. Uważają, że prawdziwe życie rozpoczęli po swej lekcji pokory.

Jeśli więc kiedyś pomyślałeś, że masz już dość i chciałbyś coś z tym zrobić, zapraszamy cię na Konsylium. Nasze spotkania mają charakter anonimowy i gromadzą wyłącznie lekarzy. Jak każda grupa AA, Konsylium jest niezależne od jakiegokolwiek instytucji, w tym od izby lekarskiej. Udział w spotkaniach jest dobrowolny i nie wiąże się z żadnymi deklaracjami i konsekwencjami.

Spotykamy się w każdy drugi i czwarty czwartek miesiąca o 19.30. Nie mamy jeszcze stałego miejsca, więc umawiamy się „na mieście”. Kontakt: tel. kom. 538 065 549 (SMS), konsylium@op.pl. Na wejściu „nowi” okazują dyplom lub prawo wykonywania zawodu (chcemy czuć się bezpiecznie w naszym gronie).